Perfidna gra śledczych

MAREK PYZA

Do wojskowych prokuratorów nie można mieć już najmniejszego zaufania. Dopuścili się potężnej manipulacji zeznaniami pilotów Jaka-40. Ujawniamy, co mówią dokumenty ukrywane przez śledczych oraz co naprawdę zeznali lotnicy.

Gdy obserwujemy zachowanie prokuratorów w mundurach, opadają ręce. Nie ma od nich takiej wiadomości, którą można by przyjąć bezkrytycznie. Wszystko ma drugie dno, jest tylko częścią prawdy, dezinformacją, jakąś ponurą grą, w której nie o prawdę chodzi. Każda konferencja prasowa, nawet krótka wypowiedź kogoś z ul. Nowowiejskiej w Warszawie, wymaga wytężonej czujności i wnikliwego sprawdzenia. Nie tak miało wyglądać to śledztwo, nie taką „przejrzystość" obiecywano.

Trzeci świadek

Co kontrolerzy ze Smoleńska mówili załodze TU-154M w czasie podchodzenia do lądowania? Na jaką wysokość chcieli sprowadzić samolot z prezydentem Lechem Kaczyńskim na pokładzie? Czy wbrew przepisom polecili pilotom zejść do 50 m? Wciąż tego nie wiemy, choć wojskowi prokuratorzy przekonują, że sprawa jest wyjaśniona. Powołują się na dowody zebrane w śledztwie. Według naszej wiedzy są one bardzo niejednoznaczne, a na podstawie materiału pominiętego przez prokuraturę można wyciągnąć zupełnie inne wnioski od oficjalnych.

Dotarliśmy do nieznanych dotychczas dokumentów, o których istnieniu prokuratura nie chce pamiętać. To oświadczenia złożone przez por. Artura Wosztyla, pierwszego pilota Jaka-40 w dniu katastrofy, technika pokładowego chor. Remigiusza Musia oraz II pilota por. Rafała Kowaleczki. Noszą one daty odpowiednio: 19 kwietnia 2010, 15 kwietnia 2010 i 19 kwietnia 2010 r. A zatem były składne kilka dni po katastrofie, nie w ogniu pytań przesłuchującego, lecz na chłodno, po dokładnym zastanowieniu się, opisaniu i poprawieniu wszystkiego, co ważnego zapamiętali z feralnego poranka.

Każdy z lotników podaje w tych dokumentach informację – tak dziś dementowaną przez śledczych – że smoleńska wieża poleciła ich kolegom zbliżającym się do lotniska zaniżoną wysokość. A zatem świadków wskazujących na niewłaściwe naprowadzanie przez Rosjan jest nie dwóch, lecz trzech!

Por. Kowaleczko napisał m.in.: „Kontroler przekazał również załodze tupolewa, aby była gotowa na odejście na drugi krąg z 50 m". Identyczną informację zarówno w swoich oświadczeniach, jak i zeznaniach podawali Wosztyl oraz Muś.

ABW usłyszała: „50"

Drugim dowodem, który dotychczas nie był znany, jest transkrypcja rozmów kontrolerów z załogą transportowego Iła-76, który próbował lądować w Smoleńsku po polskim jaku. Odsłuchu nagrania z wieży dokonali specjaliści z Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Na ósmym kilometrze przed pasem wieża przekazała rosyjskim lotnikom, by byli gotowi do odejścia na wysokości 50 m. Zamiast słowa „piatdziesiat" pada jednak „połusotnie". Taką komendę potwierdza w rozmowie z „wSieci" Artur Wosztyl: – To było takim żargonem

powiedziane. W rozmowie z tupolewem, którą słyszałem, wyraźnie padło słowo: „piatdziesiat”.

Dlaczego korespondencja z iłem jest ważna? Bo dowodzi, że kontrolerzy za nic mieli bezpieczeństwo załóg lądujących na Siewiernym i namawiali je do dużego ryzyka w czasie podejścia do lądowania. Przede wszystkim jednak potwierdza to zeznania Remigiusza Musia z 23 czerwca 2010 r. Dotychczas komenda o 50 m wydana iłowi widniała jedynie w protokole z przesłuchania technika jaka. Dziś wiemy, że jego słowa potwierdzili eksperci z ABW. Prokuratura wiedziała o tym od kilku lat. Lotnik – który w październiku 2012 r. popełnił samobójstwo – nie wymyślił sobie tych „50 metrów”. Pozwala to z dużą wiarygodnością podejść do jego zeznań dotyczących podobnego polecenia wydanego załodze tupolewa. Tym bardziej że jego słowa są tożsame z zeznaniami Artura Wosztyla i oświadczeniem Rafała Kowaleczki.

Dlaczego prokuratura zignorowała te dokumenty? Wszystkie znajdują się przecież w jej posiadaniu. Dlaczego nie daje wiary trzem świadkom, którzy tego dnia słuchali rozmowy wieży z załogą TU-154M? Dlaczego robi wszystko, by ich zdyskredytować?

Manipulacje zeznaniami

Mjr Marcin Maksjan to zastępca rzecznika Naczelnej Prokuratury Wojskowej ppłk. Janusza Wójcika. W minioną środę wystąpił jako człowiek od czarnej roboty. Wziął na siebie zadanie oczernienia załogi Jaka-40. Swoją rolę odegrał z wielkim zaangażowaniem. Trzeba jednak pamiętać, że nie jest w tej sprawie samodzielnym prokuratorem, lecz wykonuje polecenia przełożonych – prowadzącego śledztwo płk. Karola Kopczyka, szefa Wojskowej Prokuratury Okręgowej w Warszawie płk. Ireneusza Szeląga i szefa Naczelnej Prokuratury Wojskowej płk. Jerzego Artymiaka. Oni wszyscy odpowiadają za skandaliczną manipulację, która dokonała się rękami Maksjana.

Samo zorganizowanie konferencji prasowej było rzadkim wydarzeniem. Prokuratorzy już dawno zapomnieli o swojej obietnicy z 2010 r. dotyczącej regularnych spotkań z dziennikarzami, by przekazywać opinii publicznej informacje o postępach śledztwa. W dużo ważniejszych sprawach unikali występów publicznych, ograniczając się do niewiele mówiących oświadczeń na stronie internetowej.

„Zdecydowaliśmy się na opublikowanie tych zeznań, ponieważ wiem, że te zeznania budzą państwa szczególne zainteresowanie w dniu dzisiejszym. Chodzi o kwestię zasadniczą – czy wieża kontroli lotów dała zgodę na zejście załodze samolotu TU-154M do wysokości 50 m nad ziemią. Fakt taki nie miał miejsca. Przynajmniej tak wynika ze stenogramów i z opinii, które otrzymaliśmy” – zawyrokował Maksjan i zacytował fragment, w którym Rosjanie mówią do załogi tupolewa o 100 m. Faktycznie komenda „Polski 101, bądź gotowy od 100 m do odejścia na drugi krąg” padła, lecz w innym momencie niż ta o 50 m, na co od lat wskazywali lotnicy z jaka.

Takie same podstawy miała dezinformacja mjr. Maksjana odnosząca się do przesłuchań pilotów: „Proszę, zwróćcie uwagę na ewolucję treści składanych zeznań. To jest bardzo interesujące. Ja pozwoliłem sobie na ten trud przygotowania dla państwa tych najważniejszych fragmentów zeznań członków załogi samolotu Jak-40”.

Jak po kilku minutach przyznał, autorem manipulacji był jednak płk Kopczyk, przy czym o „trudzie” faktycznie warto mówić. Trzeba było bowiem wpaść na wyjątkowo ohydny pomysł, by cytować w tym kontekście zeznania Musia i Wosztyla z 2012 r. po odsłuchaniu fragmentu nagrania z czarnej skrzynki, kiedy to przyznali, że słyszą komendę o 100 m.

Chodziło bowiem o inny moment z korespondencji pokładowej! Można powiedzieć, że rzecz dotyczyła wręcz innego zdarzenia, i śledczy doskonale o tym wiedzieli.

– Jestem zdziwiony, że tak manipulują zeznaniami i dyskredytują człowieka, który nie może się obronić, bo nie żyje – mówi nam Artur Wosztyl. I dodaje: – Zastanawia mnie, dlaczego próbuje się przedstawić moje zeznania jako rodzaj manipulacji, gdy cały czas utrzymuję to samo. Ujawniane są tylko moje odpowiedzi. Nie znając pytań, można interpretować je w różnoraki sposób. Wiem, co usłyszałem, i wskazywałem, w którym miejscu to powinno być, a nie jestem w stanie odpowiedzieć, dlaczego tego nie ma na taśmie.

Były pilot konsekwentnie powtarza to samo od lat. Twierdzenie, że jego zeznania „ewoluują", jest zwykłym pomówieniem.

Odgrzewanie „ekspertów"

Po konferencji prokuratury media zaangażowane w podtrzymywanie oficjalnych wersji dotyczących przyczyn tragedii smoleńskiej natychmiast pospieszyły donosić, że prokuratura wyjaśniła sprawę, a opowieści załogi jaka można włożyć między bajki. Natychmiast pojawili się dawno niewidziani eksperci tacy jak Tomasz Hypki, z którego urojeń portal Michnika zrobił czołówkę. Naczelny oskarżyciel pilotów stwierdził, że 10 kwietnia załoga jaka nie dość, że złamała przepisy, to jeszcze namawiała do tego kolegów z tupolewa.

– Nie zaskakuje mnie, że ktoś próbuje robić ze mnie oszołoma, jestem do tego przyzwyczajony od pięciu lat – ripostuje Wosztyl. I wyjaśnia okoliczności swojego lądowania w Smoleńsku oraz niereagowanie na komendę odejścia na drugi krąg: – Prowadzący korespondencję radiową, gdy nie jesteśmy jedynym samolotem w przestrzeni, za którą odpowiada wieża, ma psi obowiązek użyć choć skróconych znaków wywoławczych. Chodzi o wskazanie samolotu, którego polecenie dotyczy. Nie było tego. Komendę wypowiedziano w sposób niezrozumiały, bardzo niewyraźny, nie powtórzono jej. Jednocześnie kontroler wielokrotnie odzywał się do załogi Iła 76 bez znaków wywoławczych, mówiąc m.in. żargonem. Jak miałem wykonać komendę, o której nie sądziłem, że odnosiła się do mnie i której nie słyszałem? Dowiedziałem się o niej... w długi weekend majowy na przesłuchaniu w MAK, kilka tygodni po katastrofie. Skąd miałem wiedzieć, że jakiś niezrozumiały bełkot był skierowany do mnie? Proszę wziąć pod uwagę, że czasem korespondencja bywa nieczytelna. Gdyby było inaczej, nie mielibyśmy w stenogramach tylu luk.

Dodaje, że warunki, w których lądował, nie wykraczały poza normy. Jest na to kilka dowodów: – Nasze relacje, zeznania z Dowództwa Kontroli Lotów, nagranie z jaka z ostatnim komunikatem o widoczności 1 500 m i informacja od meteorologa smoleńskiego, który stwierdził, że jeszcze 11 min po naszym przyziemieniu były warunki do lądowania.

Na zarzut nakłaniania załogi tupolewa do lądowania poniżej minimum Wosztyl przywołuje Regulamin Lotów Sił Zbrojnych z 2006 r. Stanowi on, że to dowódca załogi podejmuje decyzję o kontynuowaniu podejścia bądź jego przerwanie. Jak się przekonać, czy jest ono możliwe? Znaleźć się na wysokości decyzji.

– Nie mówiłem, żeby lądowali. Powiedziałem, że jeżeli zdecydują się podejść (nie lądować), to mogą spróbować. Jeżeli ktoś uparcie mówi, że nakłaniałem kogokolwiek do czegoś, to jest w błędzie. Zwłaszcza że – jak wiemy ze stenogramów – chłopaki z Tu--154M dostali później informację: „Arek, teraz widać 200". To też jest nakłanianie do lądowania? Na litość Boską! Pan Hypki stosuje od lat tę samą retorykę. Podobnie jak dr Lasek, który opowiada, że nie znałem rosyjskiego. Te zarzuty nie mają żadnego poparcia w rzeczywistości. Tych „ekspertów" tam nie było, zapominają o dowodach i wyłącznie na podstawie swoich chorych spekulacji oświadczają, że wszyscy dookoła kłamią, tylko oni mają rację.

Dowody bez znaczenia?

Dokonany przez prokuraturę zamach na wiarygodność świadków jest jednocześnie odstępstwem od zasad Kodeksu postępowania karnego. Jak przypomina mec. Piotr Pszczółkowski, KPK nie różnicuje i nie wartościuje dowodów. „Równoprawnym dowodem jest opinia uzyskana przez biegłych prokuratury, jak również zeznania załogi Jaka. Absolutnie wykluczoną jest teza, jakoby te zeznania były niewiarygodne na skutek pozyskania tej wiarygodnej ekspertyzy. [...] Judykatura i orzecznictwo wyraźnie premiują dowód z relacji świadka uzyskany natychmiast po zdarzeniu". A takowe, przypomnijmy, śledczy mają nie tylko w zeznaniach, lecz i oświadczeniach trzech lotników złożonych kilka dni po katastrofie.

Zastanawiające jest także, dlaczego prokuratorzy tak pospieszyli się z informowaniem o ekspertyzie Instytutu Ekspertyz Sądowych. Korespondencja rosyjskich kontrolerów z tupolewem pochodziła ze smoleńskiej wieży. W grudniu do Polski dotarły próbki głosów Rosjan ją obsługujących. Nie sprawdzono jednak, czy zgadzają się z nagraniem...

– Mamy do czynienia z czymś więcej niż zwykłą grą. To gra operacyjna. Środowe wydarzenia są szokujące. To, co zrobiono, zrobiono z absolutną premedytacją, z odpowiednim przygotowaniem propagandowym. [...] Chodziło o to, by cała opinia publiczna, również ta część patriotyczna, została przekonana, że materiał dowodowy pokazuje, iż załoga Jaka-40 kłamała, że nie było nigdy żadnego rozkazu zejścia na wysokość 50 m. [...] Chodziło o to, by pokazać, że Rosjanie są czyści jak zła, że z ich strony, ze strony wieży, dowództwa rosyjskiego i państwa rosyjskiego nie było żadnego działania przeciwko pilotom, Polsce, że to polscy piloci są sami sobie winni, polskie państwo jest sobie winne – komentował zachowanie prokuratorów Antoni Macierewicz w rozmowie z portalem wPolityce.pl.

Nie po raz pierwszy śledczy zostali złapani na manipulacjach. Najbardziej spektakularną i jedną z ostatnich jest kwestia materiałów wybuchowych odnalezionych najpierw przez spektrometry w Smoleńsku, a później – jak coraz więcej na to wskazuje -przez CLKP w warszawskim laboratorium. Śledczy, ignorując inteligencję słuchaczy, zaprzeczali wszystkim oczywistościom w tej sprawie. Katalog ich gier obliczonych na zaciemnienie sprawy jest bardzo obfity, a otwiera się przecież już w pierwszych godzinach po katastrofie, gdy nie zabezpieczyli miejsca zdarzenia, później nie przeprowadzili sekcji zwłok i brnęli w labirynt kłamstw.

Ubiegłotygodniowa szarża prokuratorów była o tyle obrzydliwa, że oczerniała człowieka, który nie ma szans się obronić. Wydawałoby się, że takie zachowanie jest niegodne wysokich rangą oficerów Wojska Polskiego. Ale ci panowie przyzwyczaili nas już, że z oficerskim honorem i pragnieniem ustalenia prawdy mają niewiele wspólnego.

(„wSieci", 26 I-1 II 2015)